

Jan Maciejewski: I zegnij się każde kolano

Jedną rzecz udało się Eliademu pokazać naprawdę doskonale. Fakt, że obraz, który nosi w sobie człowiek jest uniwersalny, zawsze jeden i ten sam. Zmieniają się tylko w zależności od miejsc i czasu, w jakich żyje jego interpretacje. Ale poza interpretacjami, których z natury może być nieskończona ilość, jest też coś innego, jakościowo całkowicie od nich różnego. Zrozumienie – pisze Jan Maciejewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Eliade. Mity człowieka nowoczesnego”.

– Myśli pani, że uklękną?

– Pewnie tak. Wie pani, tam wszyscy klękają.

Było wczesne popołudnie Wielkiej Środy. Za kilka godzin polscy piłkarze mieli zmierzyć się z reprezentacją Anglii, chwilę później rozpoczynało się Triduum Paschalne. Staliśmy w kolejce do pocztowego okienka, w którym obok świątecznych kartek, biografii Georga Sorosa i najnowszych wydań prasy kobiecej leżała „Krótka opowieść o Antychryście” Włodzimierza Sołowjowa. A dwie panie w średnim wieku żywo rozprawały o tym, czy „nasi chłopcy” przyklęką na Wembley w hołdzie dla ofiar rasizmu. Tak minął wieczór i poranek, rok 2021.

U Sołowjowa też chodziło o przyklęknienie – złożenie pokłonu, oddanie czci. Tej jednej jedynej rzeczy nie był w stanie zrobić tytułowy bohater „Krótkiej opowieści”. Autor przełomowego dzieła „Otwarta droga do pokoju i dobrobytu świata”. Wielki filantrop i dobroczyńca ludzkości. Antychryst był pod każdym względem arcychrześcijański. Zdradziła go tylko niezdolność do oddania pokłonu Chrystusowi. Nie wiem, czy moje kolejkowe towarzyski były świadome tego szczególnie elementu tła ich dyskusji, jakim była wyłożona na wystawie książeczka Sołowjowa. Ale na pewno doskonale zdawały sobie sprawę z tego, o czym Rosjanin pisał przeszło sto lat wcześniej – klękania to poważna sprawa. W pewnych sytuacjach i kontekstach wręcz rozstrzygająca.

Ryt powtarza, uobecnia w czasie świeckim, to do czego miało dojść „in illo tempore”, owego czasu. Czasu świętego, w centrum świata

A przecież tamto zamieszanie wokół przedmeczowej ceremonii, to tylko cząstka kolejnej odsłony wielkiego powrotu religijności. Jej

nieskoordynowanej, agresywnej i nieuniknionej eksplozji, z jaką mamy do czynienia od niemal roku. Piszę te słowa w trakcie trwania procesu policjanta, który miał udusić Georga Floyda. Wykonać czynność, gest, który – nie mam pojęcia, czy będąc tego świadomymi – powtarzają sportowcy reprezentujący najróżniejsze kraje i dyscypliny. Jak w każdym rytuale z prawdziwego zdarzenia, również w tym ustanowionym przez ruch Black Lives Matter, nie ma mowy o przypadkowości czy dowolności. Ryt powtarza, uobecnia w czasie świeckim, to do czego miało dojść „in illo tempore”, owego czasu. Czasu świętego, w centrum świata.

Wszyscy uczestniczący w rytuale BLM nie tyle przyklękają, co dociskają podłogę kolanem. Dokładnie tak samo jak policjant z Minneapolis szyję Floyda do jezdni. Wystarczy porównać pozycję, jaką przyjmują z nagraniami sprzed blisko roku, po których upublicznieniu Stany Zjednoczone zalała fala protestów. W tym wszystkim w ogóle nie ma nic dziwnego. W końcu – czy chrześcijanie nie robią tego samego, wykonując znak krzyża? Nie upamiętniają w ten sposób narzędzia tortury i śmierci ich Zbawiciela?

George Floyd został ogłoszony mesjaszem nowej religii. I żadne ze słów układających się w poprzednie zdanie nie jest metaforą. Przynajmniej dla tych wszystkich, którzy przerabiają obrazy piety, w dłoniach Czarnej Madonny obejmującej ciało zamęczonego przed momentem syna umieszczając twarz Floyda. Przypominających, że jak Chrystus wzywał z krzyża Ojca, tak czarnoskóry Amerykanin wołał chwilę przed śmiercią o pomoc matki. Tworzących murale, na których jego głowa otoczona jest aureolą lub anielskimi skrzydłami oraz tych, którzy godzinami klęczą przed nimi w ciszy i skupieniu. Projektujących i zakładających na siebie koszulki z podobizną Georga Floyda i napisem „on umarł, byśmy mogli żyć”.

Ostatnie kilkanaście miesięcy jest pasmem ostatecznej klęski oświeceniowego złudzenia. Przekonania, że wystarczy wyleczyć ludzką wyobraźnię z chrześcijaństwa, jego symboli, hierarchii i prawd, żeby człowiek zaczął kierować się „czystym rozumem”. By ludzkość wreszcie wydorosła, wyrosła z bajek i mitów. Świat Zachodu już dawno nie był tak religijny jak w chwili, kiedy zamknięta została większość chrześcijańskich świątyń, a publiczne praktyki wyznawców Chrystusa

ograniczono w stopniu porównywalnym chyba tylko do epoki cesarza Dioklecjana. Religijność wylała się wówczas poza chrześcijaństwo, okrzepła w nowych, konkurencyjnych wobec niego rytuałach.

*Świat Zachodu już dawno nie
był tak religijny jak w chwili,
kiedy zamknięta została
większość chrześcijańskich
świątyń*

Potwierdza się w ten sposób diagnoza, pozostająca w tle niemal całej literacko-naukowej twórczości Mircei Eliadego. Mit wielkiej samotności

nowoczesnego człowieka. Jednostki wyrzuconej poza sakralną historię świata. Pozbawionego (lub raczej wyzbywającego się) dostępu do rytuałów, obrzędów oraz mitów dzięki którym mógłby zrozumieć sens własnego istnienia. Samotności domagającej się ukojenia. Parafrazując bowiem Arystotelesa – poza religią może żyć tylko zwierzę albo bóg. „Zapomina się, że życie człowieka współczesnego roi się od mitów na wpół zapomnianych, od zdegradowanych hierofanii, od wytartych symboli. Nieustająca desakralizacja człowieka współczesnego wypaczyła treść jego życia duchowego nie niszcząc jednak wzorców jego wyobraźni: w strefach wymykających się kontroli trwa i żyje cała zdegradowana mitologia” – pisał Eliade w eseju „Symbolizm a psychoanaliza”.

Ten wybitny religioznawca opisywał krajobraz wyznań i rytuałów w ich postaci nieprzetrawionej jeszcze przez chrześcijaństwo. Tym mocniejsza i bardziej przekonująca jest to dla wyznawców Chrystusa lektura. Eliade szkicuje bowiem – pewnie nawet samemu nie będąc tego do końca świadomym – wielki „krajobraz gotowości”. Opisuje

świat przypominający królestwo, którego mieszkańcy nieświadomie czekają na króla. I wszystko co robią, czym wypełniają swoje życie, sposoby na jakie nadają mu sens jest nieświadomym, przepelnionym nadzieją i lękiem nawoływaniem. Krzykiem skierowanym w mrok – „przyjdź, Panie!”.

*Eliade szkicuje – pewnie
nawet samemu nie będąc tego
do końca świadomym – wielki
„krajobraz gotowości”*

Odrzucenie
chrześcijaństwa, ten
duchowy zamach
stanu, jaki przybiera
na sile od kilku
wieków, oznacza
powrót do świata, po

którego szlakach i bezdrożach oprowadzał nas Eliade. To dlatego jego religioznawcze przedsięwzięcie staje się dzisiaj dużo ważniejsze niż w chwili, kiedy ten badacz je podejmował. Ponieważ wracamy do stanu pełnej gotowości. Religia, która zniknęła z publicznej przestrzeni i kulturowej świadomości, wzbiera i bulgocze w wyobraźni. Upomina się o swoje prawa. Szuka i woła. Po omacku naśladowujące wielkotygodniowe rytuały (łącznie z wielkoczwartkowym obrzędem mycia nóg) ruchu Black Lives Matter to tylko pierwszy przykład z szeregu. Przyjdą kolejne, zapewne bardziej krwawe, mniej świadomie dopominające się powrotu króla. Cała zdegradowana mitologia ludzkiego istnienia nie przestanie wymykać się spod kontroli.

Jedną rzecz udało się Eliademu pokazać naprawdę doskonale. Fakt, że obraz, który nosi w sobie człowiek jest uniwersalny, zawsze jeden i ten sam. Zmieniają się tylko w zależności od miejsc i czasu, w jakich żyje jego interpretacje. Ale poza interpretacjami, których z natury może być nieskończona ilość, jest też coś innego, jakościowo całkowicie od nich

różnego. Zrozumienie. „Nie ma tak obmierzłej herezji, wyuzdanej orgii, okrucieństwa religijnego, obłądu, nonsensu czy schorzenia magiczno-religijnego, którego sama zasada nie miałaby «uzasadnienia» w opacznej – bo cząstkowej, niepełnej – interpretacji wielkiej symboliki” – twierdził religioznawca. A jeżeli dookoła padają cienie, to znaczy, że gdzieś tu musi stać realna postać. Tam, gdzie roi się od cząstkowych i niepełnych interpretacji brakuje po prostu pełnego zrozumienia.

W kluczowych momentach historii, twórcy zwykli dobierać się w pary. I tak w nowożytność wprowadzili nas Cervantes i Shakespeare. W XX wiek – Nietzsche i Freud. Partnerem dla Mircei Eliadego byłby w takim układzie jedynie René Girard. Francuz dopowiedział swoimi książkami to wszystko, czego zabrakło u rumuńskiego emigranta. Nikt inny tak przekonująco jak on nie pokazał przełomu dokonanego przez chrześcijaństwo w pogańskiej wyobraźni człowieka. Jednocześnie twierdząc, iż rewolucja ta mogła być tylko dlatego tak głęboka, Ewangelia tak precyzyjnie i kompletnie unieważniać mit, że była do niego tak podobna. Eliade był topografem królestwa; nadejście doń prawowitego władcy obwieszczał Girard. Obaj są niezbędnymi nam przewodnikami na rozpoczynającą się epokę wielkiego chaosu. Wciąż żyjemy przecież w tym samym królestwie. I tego samego mamy Króla. Na którego imię zegniesz się każde kolano.

Jan Maciejewski

Fot. Vasanth Rajkumar, Wikimedia Commons

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego
i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.